

Kokaina, przemoc, niewidzialne zbrodnie prawicy

6 marca 2019

Gdy Stany Zjednoczone „wstawiają się” za mieszkańcami Wenezueli, rzeczy dramatyczne dzieją się w sąsiedniej Kolumbii. Jednak to, że cały ten kraj pogrąża się coraz bardziej w spirali przemocy, w tle której mamy narkotyki i politykę, nie wywołuje zbytnej konsternacji w Waszyngtonie ani niepokoju liberalnych mediów.

Trudno się temu dziwić – Kolumbia uznawana jest od dłuższego czasu za jednego z ważniejszych strategicznych sojuszników USA. I nie przeszkadza tutaj fakt, iż Bogota coraz szybciej stacza się w przepaść bezprawia – przy zupełnym milczeniu amerykańskich mediów i, konsekwentnie, obojętności tamtejszej opinii publicznej. Kolumbijski kryzys związany jest z coraz większą, najwyższą w historii produkcją kokainy oraz z działaniami rządu legitymizującymi masową eksterminację największych społeczności Indian, zamieszkującymi niektóre rejony kraju od setek lat. Od momentu przejęcia władzy pod koniec ubiegłego roku przez Ivána Duque, liczba zamordowanych indiańskich liderów i lidererek urosła do rozmiarów nie widzianych od co najmniej dekady.

Brak zainteresowania mediów kryzysem w Kolumbii, który ma wpływ na całą Amerykę, jest tylko przykładem tego, jak hegemoniczne rządy i media instrumentalizują kryzysy w celu wywierania presji na rządu nie posiadające takiej siły. Jedne kryzysy są nagłaśniane – inne pozostają w cieniu, kompletnie przemilczane.

Absurdalne podwójne standardy

To Barack Obama pierwszy określił Wenezuelę mianem „zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego” i nałożył na ten bogaty w ropę

kraj drakońskie sankcje. Ale administracja Trumpa posunęła się zdecydowanie dalej. Nie tylko zaostrzyła sankcje, ale również oskarża wenezuelski rząd o wspieranie globalnego handlu narkotykami, co ma owo zaostrzenie uzasadniać. Oskarżenia te nie zostały podparte jakimikolwiek konkretnymi dowodami.

W tym samym czasie administracja Trumpa w ogóle nie zainteresowała się skokowym wzrostem produkcji narkotyków w sojuszniczej, sąsiadującej z Wenezuelą, Kolumbii. To, że kolumbijski rynek narkotykowy rozrasta się do niespotykanych globalnie rozmiarów jest wiadome od co najmniej dwóch lat. Powiązania wojskowych i polityków z tym rynkiem należą do długiej i niechlubnej tradycji. Administracja Trumpa, podobnie jak poprzednie, nadal nie zwraca na to uwagi. Zgodnie z raportami ONZ opublikowanymi we wrześniu, kolumbijska produkcja kokainy znów bije rekordy. W 2017 roku, z którego pochodzą najnowsze dane, wyprodukowano około 1379 ton narkotyku. To wzrost o 31 proc. wzrost w porównaniu z 2016 rokiem, zresztą też rekordowym. Produkcja kokainy wzrosła wtedy aż o 50 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim.

Administracja Trumpa groziła sankcjami byłemu prezydentowi Kolumbii Juanowi Manuelowi Santosowi, właśnie ze względu na rosnącą produkcję kokainy. Skończyło się „daniem Kolumbii szansy”. Kraj pominięto w corocznym spisie krajów określanych jako „główne rejony globalnego handlu lub produkcji narkotyków”, co uargumentowano prosto i jednoznacznie – pisząc, że „kolumbijska policja jak i wojsko są bliskimi partnerami Stanów Zjednoczonych na półkuli zachodniej”. Dla odmiany Wenezuelę i jej regionalnego sojusznika, Boliwię, dokument ten opisywał jako „kraje, które nie zdołały udowodnić w ciągu ostatnich 12 miesięcy, że wywiązały się ze swoich zobowiązań wynikających z międzynarodowych porozumień dotyczących zwalczania produkcji narkotykowej i związanego z nią handlu”. Tymczasem Boliwia mogła się pochwalić najmniejszą produkcją kokainy w Ameryce Południowej w tym roku.

Rząd USA wraz z mediami tradycyjnie obarcza winą za produkcję

kokainy lewicowe organizacje partyzanckie, takie jak FARC. Tymczasem umowa pokojowa z 2016 r. i jej późniejsza implementacja wykluczyły partyzantów z produkcji narkotyków. Główny kozioł ofiarny prawicy i wojskowych w Kolumbii zniknął ze sceny politycznej. Wojsko nie może już zrzucić na lewicę własnych win – United Nations Drug Control Program (UNDCP), agenda ONZ, opisała kolumbijskie wojsko, zbrojone i trenowane dekadami przez USA, w ramach programu wprowadzonego przez Billa Clintona o nazwie „Plan Columbia”, jako jedną z „największych instytucji handlujących heroiną i kokainą”.

Rząd Kolumbii również był związany z produkcją narkotyków. Szczególnie podczas rządów prezydenta Álvaro Uribe, oskarżanego o kierowanie „kolumbijskimi organizacjami paramilitarnymi” „szefem kolumbijskich organizacji paramilitarnych” przed wyborem na urząd i w trakcie jego sprawowania. Amerykańska Defense Intelligence Agency wpisała prezydenta Kolumbii „na listę 104 najważniejszych handlarzy narkotyków powiązanych z kolumbijskimi kartelami”.

Nie można wykluczyć nawet tego, że rząd USA sam był/jest zaangażowany w handel kokainą. M.in. dzieci Pablo Escobara twierdzą, że przez pewien czas pracował on dla CIA. Rzekomo miał on sprzedawać kokainę, by wspomóc rząd USA w walce z komunizmem i lewicą w Ameryce Łacińskiej. Jak przekonują autorzy książki „Cocaine, Death Squads and the War on Terror: U.S. Imperialism and Class Struggle in Colombia”, amerykańskie wysiłki w walce z handlem narkotykami nigdy nie miały na celu kompletnego wyniszczenia nielegalnego rynku, lecz raczej zabezpieczenie go, by mogli z niego korzystać sojusznicy USA, prawicowe organizacje paramilitarne, elity, formowane przez nie rządy i ich stronnicy. W tym świetle bierność Trumpa wobec sytuacji w Kolumbii kompletnie nie dziwi.

Tragedia ludu Wayuú

W momencie, gdy długoletnie działania USA, których celem było

obalenie rządów Chaveza, coraz bardziej zyskiwały na sile, zachodnie media rozpoczęły kampanię medialną wymierzoną w rząd Maduro, oskarżając go o „głodzenie własnych obywateli”. Stało się to pomimo tego, że jednym z głównych czynników napędzających kryzys gospodarczy w Wenezueli są sankcje amerykańskie. Tymczasem od 2011 r. w Kolumbii trwa systematyczne ludobójstwo największej społeczności autochtonicznej, Indian Wayuú, zamieszkujących rejon Guajira. Zaczęło się ono od przekierowania wód rzeki Rancheria, a następnie budowy największej w Kolumbii i na kontynencie kopalni węgla.

Cierpienia Indian Wayu nie „cieszą się” zainteresowaniem zachodnich mediów. I to pomimo faktu, że z powodu braku czystej wody w regionie zmarło 14 tys. dzieci. Wayuú, którzy stanowią 20 procent autochtonicznej społeczności Kolumbii, oraz 48 procent populacji regionu Guajira, grozi teraz całkowite wyginięcie. Przekierowana siedem lat temu Rancheria stanowiła dla nich jedyne źródło czystej wody, która teraz zasila wyłącznie kopalnię węgla Cerrejón.

Liczbę Indian cierpiących z powodu niedożywienia szacuje się na 37 tys. osób. Z powodu braku dostępu do wody nie mogą oni uprawiać ziemi ani hodować bydła. Każdy członek społeczności dziennie ma średnio do dyspozycji 0,7 litra wody, podczas gdy kopalnia węgla Cerrejón zużywa dziennie jej ponad 2,7 mln litrów, głównie do zmniejszania zanieczyszczeń. Chociaż budowa kopalni w tym miejscu i jej działanie jest oczywistym powodem kryzysu humanitarnego, rząd Kolumbii winą obarcza globalne ocieplenie i zjawiska naturalne takie jak El Niño.

Dodajmy dla porządku, że sama kopalnia została założona przez ExxonMobil, przy amerykańskim poparciu; teraz jest ona konsorcjum różnych korporacji, takich jak Anglo American i BHP Billiton. Te same korporacje często współpracują z prawicowymi organizacjami paramilitarnymi, głęboko powiązanymi z rządem, które dbają o to, by Indianie Wayuú nie byli w stanie swoim oporem wyrzucić jakiejkolwiek presji na mediach, rządzie czy

biznesie. Groźbami i brutalnymi akcjami uciszają działaczy indiańskich, np. ich głównego przedstawiciela w kwestiach prawnych Javiera Rojas Uriana.

Szczególnie wielu Wayuú wyemigrowało do Wenezueli, unikając powolnej śmierci z niedożywienia, braku wody, chorób spowodowanych przez wodę nienadającą się do spożycia. Wenezuelscy Indianie należący do tej społeczności są jedną z grup popierających legalny rząd wenezuelski w walce z amerykańskimi wysiłkami na rzecz obalenia go. Określili oni demonstracje opozycji finansowanej przez USA „działaniami mającymi na celu wywołać chaos”. „Huffington Post” zauważył w 2017 r., że poparcie Wayuú dla Maduro jest w dużej mierze ignorowane przez zachodnie media. Nie pasuje do narracji.

Likwidacja aktywistów

Los Indian Wayuú wisi na włosku, ale po inauguracji rządu Ivana Duque pogorszyła się dramatycznie sytuacja wszystkich rdzennych ludów Kolumbii.

Doszedł on do władzy dopiero w sierpniu zeszłego roku. To mało czasu, ale El Tiempo opisuje, że od tego momentu liczba zabójstw działaczy indiańskich urosła już do rozmiarów niespotykanych od dekady. Według danych dziennika w ciągu 100 dni rządu Duque z zimną krwią zamordowano 120 działaczy społeczności indiańskiej i obrońców praw człowieka.

Morderstwa społeczników przez prawicowe ugrupowania paramilitarne od dawna stanowi problem w najnowszej historii Kolumbii. Jednak liczba zaplanowanych, zorganizowanych zabójstw wzrosła w ostatnich latach skokowo. 226, 159 i 97 takich morderstw miało miejsce w trakcie całego roku odpowiednio w 2018, 2017 i 2016. Pomimo tego to wenezuelski rząd Nicolasa Maduro jest rutynowo oskarżany o mordowanie działaczy opozycji przez zachodnie media. Te same, które milczą na temat wzrostu liczby zabójstw aktywistów w Kolumbii.

Administracja Duque nie uważa tych morderstw za palący problem. Nie ma co się temu dziwić. Duque został w końcu wskazany na prezydenta przez Álvaro Uribe, byłego prezydenta Kolumbii, który niegdyś zajmował się nie tylko handlem narkotykami, ale też stał na czele organizacji paramilitarnych prawicy, co potwierdzają byli ich oficerowie. Chodzi m.in. o AUC, szwadron śmierci finansowany przez kilka amerykańskich korporacji.

Uribe urzędował w latach 2002-2010, będąc bliskim sojusznikiem George W. Busha. Miał osobiste związki z mordowaniem działaczy społecznych przez prawicowe szwadrony śmierci. Jego kuzyn, polityk Mario Uribe, został oskarżony o mobilizację tychże organizacji i kierowanie nimi w celu zabezpieczenia zwycięstwa Uribe w 2002 r. Brat Uribe natomiast został aresztowany w 2016 r. za założenie prawicowej bojówki.

Pod rządami Uribe wojska kolumbijskie wymordowały tysiące cywilów. Znane są przypadki, w których kolumbijskie wojsko przebrało około 5000 cywilów w odzież partyzancką i zabiło ich z zimną krwią, a następnie otrzymało premię od rządu Uribe za złowieszczy czyn. W tej sytuacji nie dziwi fakt, że organizacje paramilitarne były niezmiernie szczęśliwe po wygranej Duque, wzywając następnie do „eksterminacji” opozycji, określając prominentnych działaczy lewicowych „celami wojskowymi”.

Czego się spodziewać, jeśli USA wygra w Wenezueli

Gdyby publicznie deklarowane obawy Waszyngtonu dotyczące „praw człowieka” i dobrobytu mieszkańców Wenezueli były autentyczne, w pierwszej kolejności USA musiałyby zgłosić zastrzeżenia wobec rządu Kolumbii. Jako że takich nie ma, dyktando między stosunkiem Waszyngtonu do Wenezueli i Kolumbii jest kolejnym wyraźnym przykładem, że publiczne uzasadnienia amerykańskiej polityki w Ameryce Łacińskiej są niczym więcej, niż sposobem

na dawno opatentowaną ekspansję neofaszystowskich rządów w całej Ameryce Łacińskiej.

Jeśli Juan Guaidó, samozwańczy, wspierany przez USA prezydent Wenezueli, zdobędzie władzę w kraju, nie trzeba daleko rozglądać się za prognozami tego, co będzie dalej. Powtórzenie dramatu Kolumbii i Kolumbijczyków u wschodniego sąsiada – takie będą konsekwencje obalenia prezydenta Nicolása Maduro. Na jego miejsce USA wprowadzi kolejny rząd wprost przez siebie utworzony lub zmontowany z miejscowych oligarchów, kolejny z niechlubnej serii podobnych rządów w krajach Ameryki Południowej utworzonych w ciągu ostatnich dekad. W ciągu ostatnich lat – ze szczególnym natężeniem.

Autorstwo: Whitney Webb

Tłumaczenie: Wojciech Łobodziński

Źródło oryginalne: MintPressNews.com

Źródło polskie: Strajk.eu